



ROBERT
LUDLUM
RAPORT TARQUINA

Rozdział 1

Budynek był tak pospolity, że w ogóle nie rzucał się w oczy. Mogło się w nim mieścić duże prywatne liceum albo regionalna siedziba urzędu skarbowego. Trzypiętrowy blok z brązowej cegły, z wewnętrznym dziedzińcem, wyglądał jak niezliczone tysiące innych wzniesionych w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Przypadkowy przechodzień nawet by na niego nie spojrział.

A jednak w tym miejscu nie było przypadkowych przechodniów. Nie na tej odludnej wyspie, oddalonej dziesięć kilometrów od wybrzeża Wirginii. Oficjalnie należała do terenów objętych Narodowym Programem Ochrony Dzikiej Przyrody i każdy, kto wypytywałby o to miejsce, dowiedziałby się, że w związku z wyjątkową delikatnością tutejszego ekosystemu nie może liczyć na możliwość wstępu. Rzeczywiście, część zawietrznej strony wyspy zamieszkiwały rybołowy i tracze – drapieżcy i ich ofiary – ale obu tym gatunkom zagrażał największy spośród wszystkich drapieżników: człowiek. Środkową część zajmował sześćohektarowy lekko pagórkowaty obszar o wypielegnowanej zieleni, i to właśnie tam wznosiła się pospolicie wyglądająca placówka.

Łodzie, które przybijały do brzegów wyspy Parrish trzy razy

dziennie, oznaczone były logo Narodowego Programu Ochrony Dzikiej Przyrody i ktoś, kto przyglądałby się im z daleka, nigdy by nie podejrzewał, że personel docierający na wyspę to nie ekipa strażników leśnych. Gdyby próbowała tam przybić uszkodzona łódź rybacka, została by natychmiast przechwycona przez ubranych w mundury khaki mężczyzn uśmiechających się pogodnie, ale patrzących na każdego przybysza bezlitosnym, lodowatym wzrokiem. Nikt nigdy nie dotarł na tyle blisko, by ujrzeć cztery wieżyczki strażnicze oraz ogrodzenie pod napięciem i zacząć się zastanawiać, czemu mogą służyć.

Zakład Psychiatryczny Parrish Island, choć na pierwszy rzut oka mało ciekawy, w rzeczywistości skrywał więcej „dzikości” niż otaczająca go przyroda, dzikości ludzkiej duszy. Niewiele osób z rządu wiedziało o istnieniu tej placówki, a jej istnieniu przeczyła zwyczajna logika: zakład psychiatryczny dla pacjentów będących w posiadaniu ściśle tajnych informacji. Tajny ośrodek był przeznaczony dla ludzi, którzy wymagali leczenia psychiatrycznego, a zarazem dysponowali poufną wiedzą o tajemnicach wagi państwowej. Członkowie personelu, starannie dobrani, mieli certyfikaty o wysokim poziomie dostępu do informacji, a działające na okrągło systemy nadzoru audio-wideo zapewniały ochronę przed złamaniem procedur bezpieczeństwa. Mimo to, dla pewności, wszyscy pracownicy kliniczni zakładu podlegali rotacji co trzy miesiące, co miało zminimalizować ryzyko przypadków pojawienia się niepożądanych więzi emocjonalnych. Procedury bezpieczeństwa zaostrożono do tego stopnia, że do pacjentów zwracano się nie po nazwisku, lecz używano przypisanych każdemu z nich numerów.

Rzadko pojawiał się taki, który przedstawiał naprawdę wysokie zagrożenie, czy to z powodu natury zaburzeń, czy w związku ze ściśle tajnymi informacjami, jakimi dysponował. Takich pacjentów izolowano od reszty i umieszczano na osobnym, specjalnie zamykanym oddziale. W zachodnim skrzydle na trzecim piętrze przebywał właśnie taki pacjent.

Numer 5312.

Członek personelu przeniesiony na oddział 3Z, który po raz pierwszy by go spotkał, mógł być pewien tylko jednego: że 5312 ma metr osiemdziesiąt wzrostu, około czterdziestu lat, ciemne, krótko obcięte włosy i oczy w odcieniu najczystszej błękitu. Gdyby ich spojrzenia się spotkały, to nowy członek personelu pierwszy odwróciłby wzrok, bo oczy pacjenta zdawały się emanować jakąś niezwykle, deprymującą energią i świdrowały człowieka na wskroś. Reszta informacji o nim znajdowała się w aktach osobowych. A co do szaleństwa pacjenta, to można było tylko snuć domysły.

• • •

Gdzieś na oddziale 3Z rozbrzmiewały eksplozje, przeraźliwe krzyki i panował ogólny chaos, lecz wokół panowała cisza; to wszystko działo się w niespokojnych snach pacjenta, które przybierały na intensywności, nawet kiedy zaczynał się już budzić. Te chwile pomiędzy stanem, kiedy człowiek ma świadomość jedynie tego, co postrzega, i staje się czymś w rodzaju oka pozbawionego osobowości, wypełniały serie obrazów, z których każdy zaczynał się niczym klatka zablokowanego filmu w przegrzanym projektorze. Wiecej polityczny na Tajwanie; upalny, parny dzień. Tysiące ludzi zebranych na rozległym placu, a żar chłodziły tylko pojawiające się od czasu do czasu podmuchy lekkiego wiatru. Kandydat polityczny powalony w pół słowa przez wybuch ładunku – niedużego, kierunkowego, zabójczego. Jeszcze przed chwilą przemawiał ze swadą, pewnie, zdecydowanie, a teraz leżał na drewnianej trybunie, w kałuży własnej krwi.

Polityk uniósł głowę, by ostatni raz popatrzeć na tłum; jego wzrok zatrzymał się na *chang bizi* – człowieku z Zachodu. Tylko on nie krzyczał, nie szlochał ani nie próbował uciekać. Nie wydawał się zaskoczony tym, co się stało, bo przecież oglądał efekty własnego dzieła. Kandydat umarł, patrząc na człowieka, który przybył z drugiego końca świata, aby go

zabić. Zaraz potem obraz zafalował, zaczął się rozmywać, aż w końcu zniknął w powodzi oślepiającej bieli.

Z niewidocznego głośnika dobiegł odległy sygnał, trzy dźwięki w tonacji minorowej; Hal Ambler otworzył zaspane oczy.

Czy naprawdę było już rano? W tym pokoju bez okien nie mógł tego w żaden sposób stwierdzić. Ale to był jego poranek. Umieszczone we wnękach w suficie świetlówki przez pół godziny stopniowo zwiększały intensywność światła – technologiczny świt spotęgowany przez biel całego otoczenia. Tak zaczynał się kolejny dzień, niezależnie od tego, czy rzeczywiście tak było, czy nie. Pokój Amblera miał wymiary trzy na cztery metry, podłogę wyłożoną białym PCW, a ściany – pianką z polichloru winylu – zwartej, elastycznej jak kauczuk substancji, lekko ustępującej pod silniejszym naciskiem, jak mata zapaśnicza. Niebawem przy wtórze dźwięku przypominającego westchnienie otworzą się rozsuwane drzwi. Znał te szczegóły i setki innych. To były elementy składające się na życie w tej ściśle strzeżonej placówce. Jeśli w ogóle można to było nazwać życiem. Doświadczał długich okresów pośpępanej przejrzystości umysłu oraz przerywników, w których nie pamiętał niczego. Silniej niż kiedykolwiek odnosił wtedy wrażenie, że został uprowadzony nie tylko ciałem, ale także duchem.

W trakcie trwającej blisko dwie dekady kariery tajnego agenta Ambler był kilkakrotnie brany do niewoli – w Czeczenii, a także w Algierii – i miał okazję przebywać jako więzień w kompletnej izolacji. Wiedział, że te okoliczności nie sprzyjają głębszym przemyśleniom, rozwojowi duchowemu ani rozważaniom natury filozoficznej. Jego umysł wypełniały raczej fragmenty dżingli reklamowych, piosenek popowych, z na wpół zapamiętanymi tekstami i wyjątkowo dokuczliwą świadomością drobnych niedogodności natury fizycznej. Te doznania pojawiały się, dryfowały i rzadko prowadziły do czegoś naprawdę interesującego, bo nieodłącznie wiązało się z nimi dojmujące

cierpienie izolacji. Ludzie, którzy szkolili Amblera do roli tajnego agenta, próbowali go przygotować na taką ewentualność. Twierdzili, że najtrudniej jest powstrzymać umysł przed atakowaniem samego siebie, jak żołądek pochłaniający własną tkankę.

Tyle tylko, że na wyspie Parrish nie znajdował się w rękach wrogów, był przetrzymywany przez agencję państwową, pracującą na rzecz rządu, któremu poświęcił całą swoją karierę.

I nie wiedział, dlaczego tak się stało.

Nie było dla niego wielką tajemnicą, dlaczego niektórzy tu trafiali. Jako członek agencji wywiadu Stanów Zjednoczonych, znanej jako Wydział Operacji Konsularnych, słyszał o placówce na wyspie Parrish. Rozumiał również, dlaczego takie miejsce musi istnieć; ludzki umysł bywa kruchy i zawodny, każdemu może się zdarzyć załamanie psychiczne, zwłaszcza ludziom znającym rozmaite ściśle strzeżone tajemnice. A do tego rodzaju pacjentów nie można dopuszczać pierwszego lepszego psychiatry. Tę bolesną lekcję przyswojono sobie najlepiej w okresie zimnej wojny, kiedy psychoanalityk z Alexandrii, który urodził się w Berlinie i miał wśród pacjentów kilku wysokiej rangi urzędników państwowych, został zdemaskowany jako tajny współpracownik przekazujący pozyskane informacje niesławnemu, ernerdowskiemu Ministerium für Staatssicherheit, znanemu jako Stasi.

To nie tłumaczyło jednak, dlaczego Hal Ambler znalazł się na wyspie, i to dawno temu. Ale kiedy dokładnie? W jego szkoleniu stawiano między innymi na konieczność zachowania poczucia czasu podczas pobytu w niewoli. Tym razem jednak mu się to nie udało i pytanie o czas spędzony dotąd w celi wciąż pozostawało bez odpowiedzi. Czy to było pół roku, rok, a może dłużej? O tylu rzeczach nie miał pojęcia. Wiedział natomiast jedno: jeśli już wkrótce stąd nie ucieknie, naprawdę oszaleje.

• • •

Rutyna... Ambler nie potrafił zdecydować, czy jej przestrzeganie mogło mu pomóc, czy raczej zaszkodzić. Szybko i sprawnie zrealizował codzienne ćwiczenia, wykonując na koniec sto pompek na jednej ręce, na przemian raz na lewą, raz na prawą. Zezwalano mu brać kąpiel co drugi dzień; dziś przypadał ten, kiedy nie mógł się wykapać. Umył zęby przy niedużej białej umywalce w kącie pokoju. Rączka szczoteczki do zębów, jak zauważył, była wykonana z miękkiego, gumiastego polimeru, a nie z twardego plastiku, który po zaostreniu mógłby zostać użyty jako broń. Wcisnął przycisk dotykowy i z ukrytego schowka nad umywalką wysunęła się mała golarka elektryczna. Mógł z niej korzystać dokładnie sto dwadzieścia sekund, a potem musiał odłożyć to zaopatrzone w specjalny czujnik urządzenie z powrotem do schowka; w przeciwnym razie uruchamiał się alarm. Kiedy skończył, ochlapał twarz wodą i przeczesał włosy mokrymi palcami, żeby je jako tako przygładzić i doprowadzić do porządku. Nie było tu luster ani żadnych błyszczących, gładkich powierzchni. Nawet szkło na oddziale było pokryte warstwą antyodblaskową. Wszystko to miało bez wątpienia jakieś znaczenie terapeutyczne. Włożył „ubiór dzienny”, białą, bawełnianą bluzę i luźne spodnie na gumkę, stanowiące regularny strój osadzonych.

Gdy usłyszał szelest rozsuwających się drzwi, odwrócił się powoli i poczuł sosnowy zapach środka do odkażania, który zawsze czuć było w korytarzu. Jak zwykle pojawił się krępy mężczyzna ostrzyżony na jeża i ubrany w szary popelinowy kombinezon z materiałową klapką, która zasłaniała naszywkę z nazwiskiem na piersi. Akcent wskazywał, że pochodził ze Środkowego Zachodu. Jego znudzenie i obojętność były zaraźliwe; Ambler niespecjalnie interesował się tym człowiekiem.

Kolejny element codziennej rutyny: pielęgniarz z grubym nylonowym, plecionym pasem w rękę. „Unieść rękę” – tak zawsze brzmiało polecenie, gdy podchodził i opasywał go w tali czarnym nylonowym pasem, bez którego Ambler nie mógł

opuszczać tego pomieszczenia. Pod warstwą grubego nylonu znajdowało się kilka płaskich baterii litowych; po zapięciu nad lewą nerką Amblera znajdowały się dwa metalowe przewody.

Urządzenie, znane oficjalnie jako AZEUK – Aktywowane Zdalnie Elektroniczne Urządzenie Kontrolujące – było standardowo wykorzystywane przy transporcie szczególnie niebezpiecznych więźniów, a na oddziale 3Z stanowiło element codziennego ubioru. Pas mógł być aktywowany z odległości stu metrów i był ustawiony tak, by przez osiem sekund emitować ładunek elektryczny o mocy pięćdziesięciu tysięcy woltów. Tak silne wyładowanie mogło powalić nawet zapasnika sumo; potraktowany w ten sposób prądem wilby się wstrząsany niekontrolowanymi drgawkami przez następne dziesięć, piętnaście minut.

Po starannym zapięciu sprzączek pasa pielęgniarz odeskortował Amblera wyłożonym białymi kafelkami korytarzem na przyjęcie porannej porcji leków. Pacjent szedł wolno, ospale, jakby brnął przez wodę. Taki sposób poruszania się jest typowy dla pacjentów przyjmujących w dużych dawkach leki psychotropowe i dla ludzi pracujących na oddziale nie był niczym nowym. Ruchom Amblera zdawała się przeczyć szybkość i skuteczność, z jaką rozglądał się wokoło, otaksowując całe otoczenie. To jedna z wielu rzeczy, której pielęgniarz nie wychwytał.

Niewiele uchodziło uwadze Amblera.

Sam budynek zbudowano wiele dekad temu, ale od tamtej pory stale go modernizowano, z wykorzystaniem najnowocześniejszej technologii bezpieczeństwa. Drzwi otwierało się przy użyciu karty magnetycznej, a konkretnie karty chipowej, a nie kluczy; główne wejścia wymagały skanu siatkówki, i miał do nich dostęp wyłącznie wyspecjalizowany, doborowy personel. Mniej więcej trzydzieści metrów od celi Amblera znajdował się tak zwany „pokój oceny” z wewnętrznym oknem z szarego polaryzowanego szkła – odpowiednika lustra weneckiego – które pozwalało na obserwację znajdującego się

w pomieszczeniu pacjenta, tak by nie był świadomy, że ktoś mu się przygląda. Amblera przyprowadzano tu na regularne sesje „oceny psychiatrycznej”, których cel był niejasny zarówno dla lekarza nadzorującego terapię, jak i dla samego pacjenta. Przez cały zeszły miesiąc był naprawdę w poważnej depresji, co nie wiązało się z zaburzeniami neurologicznymi; załamanie wynikało raczej z realistycznej oceny perspektywy na uwolnienie. Personel, który zmieniał się co trzy miesiące, jego traktował jak stałego pacjenta, kogoś, kto pozostanie w tej placówce jeszcze długo po ich odejściu. Wyczuwał to wyraźnie.

Kilka tygodni temu wszystko dla niego się zmieniło. To nie było nic konkretnego, nic fizycznego, co dałoby się dostrzec i określić. A jednak prawda była taka, że udało mu się do kogoś dotrzeć, i to mogło wszystko zmienić. A konkretnie ona mogła to zmienić. Już zaczęła to robić. Młoda pielęgniarka specjalizująca się w psychiatrii. Nazywała się Laurel Holland. I – tak po prostu – była po jego stronie.



Kilka minut później pielęgniarz przyprowadził powłóczęgo nogami pacjenta do dużego, półokrągłego pomieszczenia na oddziale 3Z, zwanego „salą klubową”. Nie była to jednak sala ani nie mieścił się tu żaden klub. Bardziej adekwatną nazwą byłoby „atrium kontroli”. Po jednej stronie stało kilka sprzętów treningowych i regał z encyklopedią World Book, wydaniem sprzed piętnastu lat. Po drugiej znajdowało się stanowisko wydawania leków: długi kontuar, wysokie, przesuwane okienko z taflą szyby wzmocnionej stalową siatką, a za nią półki pełne białych plastikowych buteleczek z nalepkami w pastelowych kolorach. Ambler miał okazję się przekonać, że ich zawartość mogła być równie obezwładniająca jak stalowe kajdanki. Dawały otepienie bez odrobiny spokoju i ospałość bez ukojenia.

No, ale w tej placówce stawiano nie tyle na spokój, ile na spacyfikowanie pacjentów. Tego ranka w sali zebrało się sześciu pielęgniarzy. Nie było w tym nic niezwykłego, bo tylko

dla nich stanowiła ona coś w rodzaju klubu. Oddział był przeznaczony dla tuzina pacjentów – ale przebywał na nim tylko jeden. W rezultacie miejsce to stało się nieformalnie swoistym ośrodkiem relaksu i wypoczynku dla pielęgniarzy pracujących na bardziej zatłoczonych oddziałach. To, że wszyscy zbierali się tutaj, podnosiło poziom bezpieczeństwa oddziału.

Odwracając się, by skinąć głową do dwóch pielęgniarzy siedzących na niskiej, wyściełanej gąbką ławeczce, Ambler pozwolił, aby po brodzie spłynęła mu strużka śliny; skierował w ich stronę mętne i niewyraźne spojrzenie. Zdażył już zorientować się, że prócz psychiatry i pielęgniarki – będącej jego jedyną nadzieją – było tu w sumie sześciu pielęgniarzy.

– Pora na cukiereczki – rzekł jeden z nich i pozostali zachichotali drwiąco.

Ambler wolno podszedł do punktu wydawania leków, gdzie czekała z porcją tabletek pielęgniarka o kasztanowych włosach. Wymienili prawie niedostrzegalne spojrzenia i równie niedostrzegalne skinienia głową.

Poznał jej nazwisko przypadkiem, kiedy oblała się wodą i materiał, który powinien zasłaniać plastikową tabliczkę z nazwiskiem, stał się wilgotny i przezroczysty. Pod klapką pojawiły się litery układające się w imię i nazwisko: Laurel Holland. Wymówił je niemal szeptem. Wydawała się zmieszana, ale nie rozdrażniona. To sprawiło, że coś między nimi zaiskrzyło. Obserwował jej twarz, postawę, głos, zachowanie. Przypuszczał, że jest po trzydziestce. Miała piwne oczy z drobnymi zielonymi plamkami, szczupłą sylwetkę i była mądrzejsza i atrakcyjniejsza, niż sądziła.

Z powodu systemów nadzoru i kontroli ich rozmowy były krótkie, szeptane. Sporo jednak rozgrywało się za pośrednictwem wymiany spojrzeń i delikatnych uśmiechów. Według systemu był pacjentem numer 5312. Wiedział jednak, że dla niej jest czymś więcej niż tylko numerem. Przez ostatnie sześć tygodni zaskarbił sobie jej sympatię. Nie próbował przed nią grać – prędzej czy później i tak by go przejrzała. Starał się po prostu

reagować na jej słowa i zachowanie, i w końcu ona zaczęła reagować na niego. Coś w nim rozpoznała, zorientowała się, że nie był chory psychicznie.

Ta świadomość umocniła jego wiarę w siebie i determinację do ucieczki.

– Nie chcę tu umrzeć – wyszeptał do niej któregoś ranka. Nie odpowiedziała, ale konsternacja w jej wzroku powiedziała mu wszystko, co musiał wiedzieć.

– Twoje lekarstwa – powiedziała pogodnie następnego dnia rano, kładąc mu na dłoni tabletki, które nieco różniły się od otepiających psychotropów. – Tylenol – szepnęła.

Procedury wymagały, aby połknął tabletki w jej obecności, a następnie otworzył usta i pokazał, że nigdzie ich nie ukrył. Zrobił to, a w ciągu godziny przekonał się, że powiedziała prawdę. Poczul się lżejszy zarówno fizycznie, jak i psychicznie. W ciągu kilku dni zaczął lepiej widzieć i stał się zrównoważony; poczul się bardziej sobą. Musiał jednak sprawiać wrażenie, że leki działają, i udawać wywoływany przez compazine ciężki chód, do którego przywykli pielęgniarze.

Zakład Psychiatryczny na wyspie Parrish był placówką o najwyższym poziomie bezpieczeństwa, doskonale wyposażonym w najnowsze osiągnięcia technologiczne. A jednak żadna technologia, jaką kiedykolwiek wymyślono, nie była nigdy stuprocentowo odporna na czynnik ludzki. Teraz, gdy Laurel Holland stała odwrócona tak, że kamera nie mogła zarejestrować ruchów dłoni, wsunęła swoją kartę magnetyczną za elastyczną gumkę ściągacza w spodniach białego bawełnianego stroju Amblera.

– Słyszałam, że dziś rano może zostać ogłoszony kod dwanaście – wyszeptała.

Oznaczał on stan najwyższej gotowości; ogłaszano go wtedy, gdy trzeba było przewieźć pacjenta do innego ośrodka medycznego. Nie wyjaśniła, skąd o tym wie, ale Ambler mógł się domyślać: najbardziej prawdopodobny scenariusz był taki, że pacjent uskarżał się na silne bóle w klatce piersiowej –

wczesne symptomy poważniejszych zaburzeń kardiologicznych. Będą go monitorować, a gdyby pojawiły się oznaki silniejszej arytmii, trzeba go będzie przewieźć do specjalistycznej placówki na stałym lądzie. Ambler pamiętał wcześniejszy przypadek ogłoszenia kodu dwanaście – starszy pacjent doznał wtedy wylewu – i przypomniał sobie towarzyszące temu procedury bezpieczeństwa. Choć były naprawdę najwyższej klasy, stanowiły odstępstwo od rutyny, a to mogło okazać się użyteczne.

– Nasłuchuj i bądź gotów do działania – powiedziała szeptem.

Po dwóch godzinach, które spędził w kompletnej ciszy i bezruchu, rozległ się elektroniczny dźwięk, a po nim elektroniczny głos: „Kod dwanaście, oddział pierwszy wschodni”. Tego rodzaju głos z taśmy słychać często na dworcach lotniczych, autobusowych i w wagonach metra, nieodmiennie niepokojąco miły. W jednej chwili pielęgniarze poderwali się na nogi.

– To pewnie ten staruszek z Jeden W. Jego druga ewakuacja na ląd, prawda?

Większość pielęgniarzy przeszła na pierwsze piętro.

Staruszek dostał ataku serca, zupełnie jakby to zostało wcześniej zapowiedziane. Ambler poczuł na ramieniu dotyk silnej dłoni. To był ten sam masywny, krępy pielęgniarz, który zjawił się wcześniej w jego pokoju.

– Standardowa procedura – rzekł mężczyzna. – Wszyscy pacjenci mają wrócić do swoich pokoi.

– Co się dzieje? – zapytał Ambler tępym głosem, jakby miał obrzmiały język.

– Nic, czym musiałbyś się przejmować. Będziesz bezpieczny w swoim pokoju, nic ci tam nie grozi.

Innymi słowy: zamknięty na klucz.

– A teraz chodź ze mną – rzucił pielęgniarz.

Po kilku ciągnących się w nieskończoność minutach dwaj mężczyźni znaleźli się przed drzwiami pokoju Amblera. Sanitariusz włożył kartę do czytnika szarego plastikowego

urządzenia zamontowanego przy drzwiach na wysokości talii i te rozsunęły się z cichym szmerem jak automatyczny luk.

– Do środka – burknął krępy mężczyzna ze Środkowego Zachodu.

– Potrzebuję pomocy... – Ambler postąpił kilka kroków w stronę progu i nagle odwrócił się do sanitariusza, wskazując bezradnie na porcelanową toaletę.

– Och, szlag – wycedził pielęgniarz, wydymając nozdrza z obrzydzeniem, i wszedł za nim do pokoju.

Masz tylko jedną szansę, pomyślał Ambler. Żadnych błędów.

Gdy podszedł do niego pielęgniarz, schylił się, uginając lekko nogi w kolanach, jakby miał zaraz upaść. I nagle wystrzelił w górę, uderzając tamtego głową w szczękę. Na twarzy pielęgniarza odmalowały się panika i zaskoczenie, kiedy dosięgnął go miażdżący cios – powłóczyący nogami, odurzony mocnymi lekami więzień w jednej chwili zmienił się w ludzkie tornado. Jak to możliwe? Po chwili pielęgniarz runął ciężko na wyłożoną warstwą PCW podłogę, a Ambler przypadł do niego i zaczął przeszukiwać mu kieszenie.

Żadnych błędów. Nie mógł popełnić ani jednego.

Znalazł kartę z chipem, identyfikator, a potem szybko przebrał się w szarą bluzę i spodnie sanitariusza. Ubranie pasowało – nie idealnie, ale na tyle dobrze, że nie rzucał się w oczy. Pospiesznie podwinął do wewnątrz nogawki spodni i ściągnął mocniej sznurek mocujący w talii. Podciągnął spodnie wyżej, tak że zasłoniły pas obezwładniający; oddałby wiele, żeby się go pozbyć, ale w czasie, jakim dysponował, nie wchodziło to w rachubę. Mógł jedynie spróbować przesłonić go szarym materiałowym pasem od uniformu pielęgniarza i liczyć na to, że ten czarny nylonowy z urządzeniem obezwładniającym pozostanie ukryty.

Włożywszy kartę elektroniczną do czytnika, otworzył drzwi pokoju i wyjrzał na zewnątrz. W korytarzu nie było nikogo. Cały dodatkowy personel wykonywał czynności związane z nadzwyczajną procedurą.

Czy śluza zamknie się automatycznie? Nie mógł sobie pozwolić na pomyłkę. Wychodząc na korytarz, Ambler przyłożył kartę do zewnętrznego czytnika. Po kilku kliknięciach drzwi się zamknęły.

Przebiegł kilka metrów w stronę szerokich, zaopatrzonych w długą klamkę oporową drzwi na końcu korytarza. Te otwierały się automatycznie. I oczywiście były zamknięte. Skorzystał z tej samej karty elektronicznej, której użył przed chwilą; usłyszał kilka kliknięć, silnik zamka został uruchomiony, ale nic się nie wydarzyło. Drzwi pozostały zamknięte.

Do tego przejścia pielęgniarki nie mieli dostępu.

Dopiero teraz uświadomił sobie, dlaczego Laurel Holland dała mu swoją kartę chipową: drzwi musiały prowadzić do tego samego korytarza, w którym mieścił się magazyn leków.

Spróbował użyć jej karty.

Tym razem się otworzyły.

Znalazł się w wąskim korytarzu dla personelu, słabo oświetlonym przez rząd energooszczędnych niskowatowych świetlówek. Spojrzał w prawo, dostrzegł na końcu wózek do przewozu bielizny i ruszył ostrożnie w tamtą stronę. Najwyraźniej dziś nie było tu jeszcze nikogo z ekipy sprzątającej. Na podłodze wałały się niedopałki papierosów i celofanowe opakowania, a po chwili nadepnął na coś płaskiego i metalowego: spłaszczoną pustą puszkę po red bullu. Reagując odruchowo, pod wpływem podszeptu intuicji, Ambler włożył ją do tylnej kieszeni. Ile miał czasu? A konkretnie, ile czasu minie, zanim ktoś zauważy zniknięcie pielęgniarki? Za kilka minut procedura kod dwanaście dobiegnie końca i ktoś zostanie wysłany, by wyprowadzić Amblera z jego pokoju. Musiał wydostać się z budynku najszybciej, jak to możliwe.

Jego palce natrafiły na coś, co wystawało ze ściany. Odnalazł to, czego szukał: metalową klapę zsypu do pralni. Wpełzł do środka, przytrzymując się obiema rękami krawędzi otworu i równocześnie poszukując stopami oparcia. Martwił się, że zsyp może okazać się za mały; okazał się aż za duży i nie było w

nim biegnącej w dół jednej ze ścian drabinki, na którą liczył w skrytości ducha. Zsyp wyłożono gładkimi arkuszami stali. Aby nie runąć w dół, musiał zapierać się o przeciwległe ściany obiema rękami i stopami w trampkach.

Powoli opuścił się w głąb szybu, zmieniając ułożenie kończyn w niezmiennej kolejności; towarzyszący temu wysiłek był potworny i, jak się wkrótce okazało, wyjątkowo bolesny. Odpoczynek nie wchodził w rachubę; mięśnie musiały pracować cały czas, w przeciwnym razie runąłby w dół, a upadek – jak wszystko na to wskazywało – byłby długi.

Wydawało się, że minęły godziny, zanim mozolnie dotarł na dół, choć podejrzewał, że w rzeczywistości upłynęły zaledwie dwie, może trzy minuty. Gdy przeciskał się przez worki z brudami do prania, mięśnie miał rozedrgane z bólu, a z powodu smrodu kwaśnego potu oraz fekaliów robiło mu się niedobrze. Miał wrażenie, jakby wyczołgiwał się z grobu, wygrzebując się, wypełzając i przedzierając się przez warstwę stawiającej opór materii. Każde włókno jego mięśni rozpaczliwie domagało się odpoczynku, ale nie było na to czasu.

Wreszcie wydostał się na twardą betonową podłogę i znalazł się... No właśnie, gdzie? W parnym, nisko sklepionym piwnicznym pomieszczeniu przepelnionym łoskotem urządzeń pralniczych. Uniósł głowę. Na końcu długiego ciągu białych emaliowanych przemysłowych pralek dwaj robotnicy ładowali brudy do jednej z nich.

Wstał i przeszedł pomiędzy rzędami pralek, zmuszając rozedrgane mięśnie do posłuszeństwa. Musiał stąpać pewnie i zdecydowanie. Kiedy znalazł się poza zasięgiem wzroku pracowników pralni, stanął obok rzędu wózków do przewozu prania i spróbował zorientować się w swoim położeniu.

Wiedział, że przewozów medycznych dokonywano przy użyciu szybkiej motorówki i że ta powinna przypląć niebawem, a może nawet już dobiła do brzegu. Właśnie teraz ofiara ataku serca była przypinana do noszy. Jeżeli jego plan miał mieć jakąkolwiek szansę powodzenia, nie mógł sobie

pozwolić na żadne opóźnienia.

Musiał dostać się na tę łódź.

A to oznaczało, że musiał znaleźć drogę na przystań. „Nie chcę tu umrzeć”. Kiedy to powiedział, nie chodziło mu tylko o grę na uczuciach Laurel Holland. Mówił prawdę, być może najprawdziwszą, jaką znał.

– Hej! – zawołał ktoś. – Co ty tu, kurwa, robisz?!

Nadzorca oddziału, usiłujący przydać sobie znaczenia; ktoś, kto przez całe życie był poniżany przez przełożonych i wyżywał się za to na podwładnych.

Ambler wysilił się na pogodny uśmiech i obdarzył nim łysego mężczyznę o niezdrowej cerze i oczach, które patrzyły badawczo jak obiektywy kamer monitoringu.

– Spokojnie, stary – powiedział. – Przysięgam, że nie paliłem.

– Na żarty ci się zebrało? – Nadzorca podszedł i spojrzał na plakietkę przy bluzie Amblera. – Jak twój hiszpański? Bo mogę załatwić, że przeniosą cię do najgorszej roboty w tej zafajdanej norze, ty... – Nie dokończył, bo właśnie uświadomił sobie, że twarz na zdjęciu z plakietki nie zgadzała się z osobą, którą miał przed sobą. – O w mordę – mruknął pod nosem i zrobił coś dziwnego: cofnął się o jakieś pięć, sześć metrów i odpiął od paska niewielkie urządzenie. To był nadajnik uruchamiający pas obezwładniający.

Nie! Ambler nie mógł na to pozwolić. Gdyby pas został aktywowany, prąd poraziłby go i powalił; targany skurczami Ambler wiłby się z bólu na podłodze. Cały plan spaliłby na panewce. Umarłby tam. Bezimienny więzień, pionek sił, których nigdy nie zdoła pojąć. Jakby same z siebie, ręce Amblera sięgnęły po spleśzczoną puszkę po napoju, którą włożył do tylnej kieszeni; podświadomość zareagowała o ułamek sekundy szybciej niż świadomość.

Zdjęcie pasa obezwładniającego było niemożliwe. Ale mógł wsunąć kawałek metalu pod pas, i to właśnie zrobił – wepchnął aluminiową puszkę głęboko za pas, nie zważając na to, że rozdrapywała mu skórę. Teraz dwie metalowe końcówki pasa

obezwładniającego dotykały przewodzącego metalu.

– Witamy w świecie bólu – rzekł nadzorca zdecydowanym tonem, wciskając przycisk urządzenia aktywującego.

Tylna część pasa głośno zabrzęczała. Ciało Amblera nie stanowiło już ścieżki najsłabszego oporu pomiędzy elektrodami, skórę osłoniła warstwa spłaszczonego metalu. W powietrzu uniosła się smużka dymu, a zaraz potem brzęczenie ucichło.

Pas się spalił, doszło w nim do krótkiego spięcia.

Ambler rzucił się na nadzorcę, błyskawicznie powalił go na podłogę i obezwładnił. Głowa mężczyzny uderzyła o beton, a z jego ust wydobył się zduszony jęk. Ambler przypomniał sobie, co zawsze mawiał jeden z oficerów szkoleniowych w Wydziale Operacji Konsularnych: „Pech to po prostu rewers szczęścia”. Każde niepowodzenie kryje w sobie okazję. Nie było w tym większej logiki, ale Ambler intuicyjnie dostrzegał w tych słowach jakiś sens. Zerkając na ciąg skrótów pod nazwiskiem mężczyzny, zorientował się, że do jego obowiązków należy nadzór i rozliczanie zasobów. To oznaczało czuwanie nad dostawami, ich odbiorem i rozdzielaniem, a co za tym idzie, mężczyzna musiał regularnie korzystać z wejść dla dostawców. Wyjścia z budynku były o wiele bardziej strzeżone niż bramki wewnętrzne z czytnikami sygnatur biometrycznych dla autoryzowanego personelu. A mężczyzna leżący bezwładnie u jego stóp do tego personelu należy. Ambler wymienił plakietkę pielęgniarki na tę, która należała do nadzorcy. Ten, nawet nieprzytomny, mógł się okazać przepustką na wolność.

Stalowa brama przy zachodnim wyjściu serwisowym zaopatrzona była w białą-czerwoną tabliczkę z napisem: WYJŚCIE TYLKO DLA UPRAWNIONEGO PERSONELU, PRÓBA OTWARCIA DRZWI PRZEZ OSOBY NIEUPRAWNIONE SPOWODUJE WŁĄCZENIE ALARMU. Przy podłużnej klamce nie było dziurki od klucza ani czytnika kart elektronicznych. Zobaczył coś bardziej niezwykłego: wprawione w ścianę urządzenie, którego prosty interfejs składał się z poziomego szklanego prostokąta i guzika do wciskania.

To był skaner siatkówki, urządzenie praktycznie nie do pokonania. Naczynia włosowate wychodzące z nerwu wzrokowego, rozchodzące się po całej siatkówce, mają unikalny wzór, u każdego inny. W przeciwieństwie do czytników linii papilarnych, które działały w oparciu o zaledwie sześćdziesiąt współczynników podobieństwa, skan siatkówki obejmował ich setki. W rezultacie takie skanery miały zerowy wskaźnik błędnych odczytów. Ale nie były nieomyłne. Przywitaj się z uprawnionym personelem, pomyślał Ambler, chwytając nieprzytomnego nadzorcę pod pachy, by zaciągnąć go do bramy. Tam otworzył mu oczy palcami. Wcisnął przycisk lewym łokciem i na tafli skanera pojawiły się dwa rozbłyски czerwonego światła. Po kilku sekundach, które trwały wieczność, z wnętrza stalowych drzwi dobiegł dźwięk uruchamianego silnika i powoli się otworzyły. Ambler upuścił mężczyznę, przeszedł przez bramę, a potem wspiął się po kilku betonowych stopniach.

Znalazł się przy doku załadunkowym w zachodniej części budynku. Po raz pierwszy od dłuższego czasu oddychał niefiltrowanym powietrzem. Dzień był pochmurny: zimny, deszczowy, paskudny. Ale Ambler znalazł się na zewnątrz! Narastała w nim niepohamowana, nieopisana radość, okazała się jednak ulotna; wkrótce zastąpił ją narastający niepokój. Teraz groziło mu jeszcze większe niebezpieczeństwo niż dotychczas. Od Laurel Holland wiedział, że ogrodzenie jest pod napięciem. Z tego miejsca można było wyjść na dwa sposoby – pod eskortą albo jako członek eskorty.

Usłyszał odległy warkot motorówki, a potem – nieco bliżej – inny, mechaniczny dźwięk. Pojazd elektryczny wielkości meleksa podjeżdżał pod południową ścianę budynku. Za chwilę zostanie na niego wtoczony wózek noszowy z pacjentem. I elektryczny meleks dowiezie go na przystań, gdzie już czekała łódź motorowa.

Ambler wziął głęboki oddech, wyszedł zza załomu budynku i podbiegł do pojazdu, uderzając w bok od strony kierowcy.